

162 Z Opery i Operetki śląskiej

W KJĄTKOWO przyjemnym, choć absolutnie nie wiosennym uśmiechem, powitał nas ostatnio Śląsk. Najpierw uśmiechnęły się do nas wartościowe, choć „Wesołe Kumoszeki“ z Bytomia, a następnie w inny nieco sposób wesoła i wcale efektowna, chorzowska „Nanette“.

Aczkołwiek Otto Nicolai (1810—1847) urodził się w Królewcu, a zmarł w Berlinie, jednak więcej niż połowę swego krótkiego, bo niespełna 40-letniego życia, spędził we Włoszech i Wiedniu, co najwidoczniej sprawiło, że niemiecki jego styl, smak i wdziak, stał się tak bliiski i pokrewny wiedeńsko-włoskiemu stylowi Mozarta. Ostatnie a zarazem jedyne z grywanych jego dzieł, to szeks-pirowskie „Kumoszeki“ w libretowym ujęciu Mosenthala, widzianym przez pryzmat niemieckiego romantyzmu w muzyce, w formie okraszonoj ówczesną „najdłuższą wuzozną brzmiała Slegnięto już u nas po raz trzeci po wojnie do tych miłych „Kumoszek z Windsoru“, lecz po raz pierwszy osiągnięto tak piękne i wartościowe rezultaty artystyczne.

Przedo wszystkim zamponowała nam strona sceniczna z bardzo udaną scenografią T. GRYGLEWSKIEGO i ścisła zespoloną z nią bardzo utalentowaną chórzystką L. ROTBAUMOWYNI, w sumie dając dobry teatr w Operze. Strona reżyserska pod kierunkiem W. ORRICKIEGO bynajmniej nie pozostawała w tyle, trzymając się cały czas na przyzwoitym poziomie, świadczącymi i o solidnym przygotowaniu i o talentach wykonawców. Nie s'yszliśmy niestety obsady premierowej, ale i ta tzw. obsada „druga“, sprawiła na nas korzystne na ogół wrażenie. A więc, wielka muzykalność i wdziak MARII VARDI, czy też przeylemna wokalistyka i dobre aktorstwo J. OMILJANGWIKSKEJ i R. WOLIN-SKIEJ. To samo odgosiłoby się do obsady ról męskich z J. LUKÓWSKIM (Graf), W. GRZYCHNIKIEJ (Fenton), A. KAZNOWSKIM i T. SWIECHOWICZEM na czele. Wszyscy tu byli dobrzy śpiewającymi aktorami. Chór śpiewał bez zarzutu, a w wyraźnie poprawiającej się orkiestrze podkresliło musimy piękny i szlachetny ton koncertmistrzynie J. LASKOWICZ. Balet powinien być stanowczo mniej słyszalny. Program zawierał pokąźną erratę, co stanowiło wprost nieprzyjemne dla dopetionych w nim błędów, ale bynajmniej nie było dowodem czyjejs sumiennosci, gdyż należałoby tę erratę jeszcze znacznie powiększyć.

W WARSZAWA wystrzeliła „Fajerwerk“, a tutejsza Operetka, pokazała na scenie nie komedię muzyczną w Chorzwie „No, no, Nanette“. W obu wypadkach możemy sobie porzucić samodzielną i w szafowaniu dewizami. O ile sztuka Burkharda jest wprawdzie nowoczesnością, o tyle równie rewolucyjna farsa Vincent Youmansa z dorobioną u nas jazzową instrumentacją, nie kończącymi się słowotkami i niedobrymi, jak na ówe czasy, grislami — to rok 1924. Ale może właśnie ten pomysł nie tak znów „dłgieł“, ale jakże miłej za to przeszłości, no i z bezwzględnie większym talentem skonstruowane i bezcyrkowej libretto — sprawiły, że na Śląsku „Nanette“ bawiliśmy się może nawet lepiej, niż na warszawskich fajerwerkach zwłaszcza, że i wykonanie miało również i tu, swe duże zalety.

Zupełnie i trafna reżyseria, nawet i choreografia DANUTY BADUSZKOWEJ oraz efektowna scenografia B. KAMYKOWSKIEGO, to jedna strona tego medalu, druga zaś — to owszem para autorstwa MARII ARTYKIEWICZ i ALEXANDER SAWIN, a tuż obok nich, uroczą primabalerina Opery, LEOKADIA MENKO w roli tytułowej. Wielka to trójka, a nawet w najlepszym teatrze — murowana! Duże słowa uznania należą się B. NIEZYCHOWSKIEJ i P. CWIĘ KALJKOWI (czy nie powinien on wymienić swej roli z Sawinem?) oraz J. SZYMAŃSKIEJ, A. KALINSKIEJ, M. MIKULOWSKIEJ i B. KASKOWSKIEJ. M. KOBULSKI był debiutantem, który po wybyciu się pewnych manier („tubowanie“ głosu, niestabilność w grze itp.) może być niezłym aktorem. Dyrygował A. POPIALIKIEWICZ. Zespołowi wokalnemu-tanecznemu, w czym osmiu „grigori“ — bravo! Przedstawienie wesołe, przyjemne z dobrym smakiem. Dotychczasowa część recenzji była dla wykonawców, ale dalszy jej ciąg będzie dla ich kierownictwa.

Spoglądając na te premiery, bardziej wnikliwym okiem, zauważylibyśmy sporo przyradowości, nie świadczącej o właściwym systemie pracy w Operetce Głiwickiej. Widać, że teatr ten przechodzi swój poważny kryzys. Wielu dyrektorów nim rządzi, ale za to kierownictwa artystycznego w ogóle brak, stały zaś reżyser właśnie już odziedziczył. Dzięki jednorazowemu wysiłkowi zespołu, premiery wyglądają może i efektownie, rozpadają się jednak na dalszych przedstawieniach w szmiec. Aż dwie sceny operetkowa w Głiwicach i komediowa w Chorzwie — to nonsense. Łatwo sobie powiedzieć, że będziemy tu grać komedie muzyczne. Ale jakże? Nowe — jak to — pachną dżwirami, a stare śmierdzą stęchlizną. Dyrekcja teatru otrzyma może nawet i ordery za to, że co wieczór zbiera z tych dwóch scen aż dwie pokate kasy, ale za przeproszenie tak wadliwego poziomu artystycznego, powinna otrzymać zupełnie coś innego. Sztuka i teatr, to nie pierwszy lepszy sklepik lub fabryka. Miejcie jedną scenę a dobrą — niż dwie bezumiarne. Krzepcie, o ile potrafcie sztuce, a nie kasę. „Toto Lotek“ też akurat tyle potrafi.